

W 12478

Moja praca w konspiracji jako szefa Wojskowej Służby Kobiet
w obwodzie Białystok w latach 1941-1944

Mam pisać o latach 41-44, ale nie mogę nie wspomnieć chociaż o okresie wcześniejszym. Właśnie moja praca z kobietami w latach 1939 - 41 przygotowała je i pomogła w działalności późniejszej. W wrześniu 1939 roku kobiety, z którymi przyszło mi później pracować, zdobyły pierwsze żołnierskie ostrogi.

Przed wybuchem wojny pracowałam w szkolnictwie średnim i mieszkalam w budynku szkolnym /obecnie gmach Akademii Medycznej/, miałam więc bardzo bliski kontakt z młodzieżą uczącą się i pracującą w organizacjach szkolnych.

Pierwszego września 1939 roku w gmachu szkolnym zaczęto organizować polowy szpital wojskowy. Przy jego tworzeniu pracowałam najpierw sama, a następnie wciągnęłam do tej pracy swoich uczniów. Opiekowaliśmy się zarówno chorymi i rannymi jak i żołnierzami powracającymi z rozbitych oddziałów do domów. Po kilku zaledwie dniach szpital zlikwidowano a nam zostawiono polepieką 60 najciężej chorych i 4 zmarłych. To już jednak osobny tragiczny rozdział.

Piętnastego września 1939 roku Niemcy zajęli Białystok, a po tygodniu wycofali się za Czyżew. Nastąpił okres spokojniejszy, każdy starał się zająć jakąś pracę. Ja powróciłam do pracy w szkole na stanowisku zastępcy dyrektora.

Latem 1941 roku Niemcy ponownie wkroczyli do Białegostoku, przyłączyli go do Prus Wschodnich i szkoły przestały istnieć. Zaczęłam wtedy pracować jako Zastępca kierownika Biblioteki Publicznej. Praca miała polegać na komasowaniu w jednym miejscu księgozbiorów z bibliotek szkolnych, przyzakładowych i innych. Pozwolono mi do wykonania tego zadania zatrudnić 30 osób, co było znakomitą okazją, aby zaangażować młodzież, głównie tę, która sprawdziła się przy organizacji szpitala we wrześniu 1939 roku.

I tak zaczęła się nasza konspiracja.

Przy komasacji księgozbiorów okazało się, że wiele książek to wydawnictwa niezwykle cenne, niektóre o wartości muzealnej. Wszystkie więc bardziej wartościowe dzieła zabezpieczyliśmy i ukryliśmy w bezpiecznym miejscu. Trzeba było działać ostrożnie i szybko, żeby jak najwięcej książek wynieść i ukryć przed Niemcami.

Wtedy też powstał projekt dalszego tajnego uczenia się przez młodzież. Zaczęliśmy więc wnosić książki przydatne do nauki i lektury szkolnej. Wszystkie zorganizowane później tajne komplety miały potrzebne podręczniki. Niestety, po niespełna miesiącu tajne komplety miały naszej działalności bibliotekę zamknięto. Udało nam się jednak w ciągu tego czasu uratować przed grabieżą bardzo wiele cennych woluminów.

Trzeba było szukać innego zajęcia. Dziewczęta, które znały język zgrudniły się w sklepach dla Niemców, co później wykorzystywałyśmy. Moja praca technika w Towarzystwie Domów Mieszkalnych była fikcyjna, miałam więc sporo czasu. Zorganizowałam w tym okresie około dziesięciu kompletów 10-11 osób. Ponieważ tajna praca i nauka były bardzo niebezpieczne, zajęcia organizowaliśmy głównie na peryferiach miasta, za każdym razem w innym domu i mieszkaniu.

Ja prowadziłam trzy komplety chłopców. Wszyscy zostaliśmy zaprzysiężeni. Młodzież na ogół nie sprawiała żadnych trudności wychowawczych, konspiracja ich przyciągała. Ale pamiętam, też, że kiedyś zdarzył się wypadek, który był dla nich ostrzeżeniem. Gdy skończyłam zajęcia z grupą chłopców, jak zwykle przypominałam im, żeby szli każdy do swego domu. Oni jednak wybrali się do kina. W mieście była łapanka i wszystkich chłopców Niemcy zhabrali. Natychmiast zawiesiłam lekcje, nauczyciele wyprowadzili się ze swoich mieszkań i czekaliśmy co będzie dalej. Uratował nas z tej opresji ojciec jednego z uczniów, mający z Niemcami kontakty handlowe. Wykupił ich złotem.

Piszę dotąd o swojej pracy z młodzieżą, ale przecież do pracy konspiracyjnej zgłaszały się i kobiety dojrzałe, a nawet w podeszłym wieku. Zaprzysiężone - pracowały w różnych rodzajach służb. W tym okresie nasze WSK była już dobrze zorganizowana. Moją zastępczynią była bardzo ofiarna i chętnie pomagająca we wszystkich sprawach, Konstancja Szemiota /ps. "Kot"/. Miałam też w tym czasie szefów poszczególnych służb.

Opiekunką służby wojskowej była Hanka Hykiel, a szefem szkoleniowym kapitan J. Wyrzykowski /ps. "Murat"/. Wychodziły z tej służby dzielne i bardzo dobrze wyszkolone łączniczki. Zajęcia - a więc ćwiczenia i wykłady - odbywały się w konspiracji, trwały nieprzerwanie i intensywnie, bo zapotrzebowanie na łączniczki było bardzo duże. Kilka z nich później zginęło - np. dwie siostry ^{szc} Łukaszczyńskie wraz z matką ~~czy~~ "JUDYTA", zatrzymana przez Niemców i rozstrzelana.

Szeroko rozwinęła swą działalność służba sanitarna. Dziewczyna i kobiety uczęszczały na kursy sanitarne prowadzone przez lekarzy. Ćwiczenia praktyczne prowadziła z dużym poświęceniem, nie żałując czasu dla nikogo - siostra - ps. "JULIA". /niestety nie pamiętam jej nazwiska/. Około 30 kobiet złożyło egzaminy na sanitariuszki. Szefem tej służby był doktor Drozdowski /ps. MACIUSZY, zawsze chętnie udzielający potrzebującym pomocy. Ratawał rannych partyzantów, dawał zwolnienie z pracy czy też zalecał zmianę pracy ze względu na stan zdrowia gdy wiadomo było, że grozi komuś niebezpieczeństwo. Miał dość duże uprawnienia jako lekarz przyzakładowy.

Dużą pomoc niosłyśmy wszystkim walczącym i ich rodzinom. Starsza już kobieta Felicja Ruszczyńska robiła wywiad w terenie. Przemierzała dziennie czasem bardzo duże odległości, odwiedzając rodziny aresztowanych, uwięzionych, rozstrzelanych, zaginionych na frontach partyzantów, a często także samych partyzantów.

Żeby jednak im pomagać było najpierw znaleźć źródła zaopatrzenia w żywność, leki czy odzież. Po pewnym czasie miałam już kilka pewnych źródeł.

W hurtowni niemieckiej przy dworcu kolejowym pracował Bonia /ps. "JÓZEF II"/, nauczyciel z poznańskiego. Znał świetnie język niemiecki, toteż Niemcy powierzyli mu funkcję przydziału artykułów spożywczych do sklepów niemieckich w całym obwodzie białostockim. Miłam z nim bliski kontakt ponieważ mieszkał obok mnie, a żona jego była moją uczennicą. W umówionych dniach podjeżdżałam furmankami do magazynów i otrzymywałam towar po bardzo

niskiej cenie. Głównie była to kasza, przyprawy do zup, czasem cukier czy sacharyna. Wcześniej Bonia wydawał mi kwity. Na kartki dostawałam artykuły, takie jak chleb, oliwę i czasem mięso. Wszystkie towary kobiety pakowały w torebki i roznosiły /rozwoziły/ potrzebującym.

Kierownikiem sklepu przy mleczarni miejskiej był mój uczeń-Zulauf, także świetnie władający językiem niemieckim. U niego wyznaczone kobiety kupowały 5 litrów mleka i 3 kg twraogu dziennie. Ja otrzymywałam ponadto 2 litry mleka pełnego i 1 kg masła. Kierownikiem samej mleczarni był pan Chromy, ojciec moich dwóch uczenic z tajnego kompletu. Jeżeli zastał mnie samą w sklepie dostawałam jeszcze od niego 2-3 kg masła. Masło i mleko przydzielaliśmy małym dzieciom i chorym.

Trzecim źródłem zaopatrzenia w żywność była piekarnia miejska przy ul. Wasilkowskiej. Piekarzem był tam ojciec mego ucznia /niestety nie pamiętam nazwiska /Puciłowski/. Codzienie otrzymywałam od niego, ale tylko osobiście 3 bobhenki chleba.

Staraliśmy się nie tylko o żywność. Potrzebna była także odzież, a dla Polaków nie było żadnych sklepów tego typu.

Wspomniana już przeze mnie Hanka Hykiel pracowała w dużym sklepie konfekcyjnym dla Niemców i cieszyła się zaufaniem kierownika tegoż sklepu. Wykorzystywała to i wносиła potajemnie ciepłą odzież, głównie dla dzieci oraz guziki, nici itp. Kiedy wojska radzickie zaczęły zbliżać się do Białegostoku, właściciel sklepu spakował towar w skrzynie i wyjechał, zapowiadając Hance, że powróci. Zostawił jej klucze od magazynu polecając pilnować do jego powrotu. Postanowiliśmy wtedy wspólnie wykorzystać nadarzącą się okazję i wynieść dla naszych potrzeb większą partię odzieży. Wezwłam wszystkie działające kobiety i kolejno każda z nich wносиła na sobie wełną, swetry i skarpety, koszule męskie i inne tego typu rzeczy. Wyniosliśmy sporo towaru nie wzbudzając podejrzeń. Wszystko przydało się już wrótce dla wychodzących z lasu partyzantów.

Kiedy po kilku dniach Niemiec powrócił, poszukiwał Hanki, ale ukryłam ją u siebie.

Muszę przyznać, że właściwie w każdym najmniejszym nawet sklepie, gdzie pracowali Polacy, spotkałam się z pomocą. Gdziekolwiek weszłam, zawsze wychodziłam z dużą torbą pełną najróżniejszych produktów - cukru, grzybów suszonych, marmolady i innych specjałów. Ludzie orientowali się dla kogo to wszystko jest przeznaczone i chętnie pomagali jak mogli. Podobnie było w aptekach. Nigdy nie wychodziłam z nich z pustymi rękami, toteż lekarstwa i środków opatrunkowych miałyśmy zwykle pod dostatkiem.

Czym dłużej trwała nasza zorganizowana działalność, tym szersze zakreślała kręgi. Zaczęliśmy nawet kupować na wsi żywe krowy, cielęta, barany i już na miejscu samodzielnie preparować je i rozdzielać. Udało nam się też w tym okresie /był to już rok 1943/ gościć poprzez swoich ludzi do więzienia miejskiego. W miarę możliwości zaopatrywaliśmy

więźniów w żywność i ciepłą odzież. Wkrótce jednak wszystkich więźniów wywieziono do obozu Gross-Rossen.

Wiedziałyśmy jednak wcześniej o mającej nastąpić ewakuacji i zorganizowałyśmy dostawę do pociągu żywności i wody na drogę. Wiadomo bowiem było w jakich strasznych warunkach podróżowali więźniowie.

Janak Walendziuk doszły z dnia dzienny wypiek chleba z piekarni przy ul. Wiatrakowej, Pan Chromy masło.

Problem był tylko z przeniesieniem tego wszystkiego do pociągu. Puste wagony stały daleko od stacji, ale były strzeżone przez Niemców. Kiedy zaczęto partiami przywozić więźniów, kobiety korzystając z zamieszania, czołgały się pod wagonami z przeciwnej strony i wrzucały żywność przez okna do wagonów. Niemcy bili je kolbami i pałkami, jeśli którąś zauważyli, ale zbierało się coraz więcej ludzi i było łatwiej działać. Trwało to cały dzień, ale wykonaliśmy zadania w całości. Pamiętam tylko kilka z pracujących wtedy kobiet - Felicję Ruszczewską, najstarszą z nas Julię Zubelewicz, Marię Kamińską, Wandę i Jadwigę Wojciechowskie z matką i Eugenię Forys.

Oprócz wymienionych rodzajów działalności kobiet zgrupowanych w moim oddziale ważne miejsce zajmował kolportaż prasy podziemnej. Ludność bardzo czekała na wiadomość i uważałyśmy za swój obowiązek dostarczać ich jak najwięcej i jak najczęściej. Kolportowałyśmy zarówno prasę miejscową jak i warszawską. Ponieważ rok 1943 był rokiem prześladowań i zaostrzonego terroru niemieckiego nie było to zadanie łatwe ani bezpieczne. I tak np. prasę z Warszawy dowozili kolejarze, a odbierała ją i roznosiła Poczobotówna /ps. "MURZYŃKA"/. Pamiętam wydarzenie, kiedy idącą z paczką "bibuły" "MURZYŃKĘ" zaczepił oficer niemiecki pytając co niesie. Odpowiedziała, zachowując zimną krew, że idzie nadać na pocztę paczkę dla brata i Niemiec ją puścił nie rewidując. Mimo szczęśliwego zakończenia tego zdarzenia "MURZYŃKA" nie mogła już roznosić gazet i trzeba było ją zastąpić inną kobietą.

Miejscową prasę redagowali - Mieczysław Piotrowski i Ryszard Wroczyński /obecny profesor Uniwersytetu Warszawskiego/.

Wydawali oni biuletyn AK oraz materiały oparte na wiadomościach z podsłuchów.

Wspomniałam już, że rok 1943 był bardzo tragiczny dla ludności polskiej w Białymstoku. Niemcy coraz częściej robili łapanki, wzmożyły się aresztowania.

Polacy w odwet likwidowali szpicli, których było coraz więcej, organizowali zamachy. Krwawymi literami zapisał się szczególnie dzień 10 lipca, kiedy Niemcy przystąpili do masowej pacyfikacji ludności miasta. Pod domy przyjeżdżały od piątej rano do późnego popołudnia samochody. Zabierano całe rodziny, szczególnie inteligendzkie, kobiety z małymi dziećmi. Wszystkich rozstrzelano za miastem i pochowano zbiorowo we wcześniej przygotowanych rowach. Najwięcej stracono rodzin z ulicy Szczygła.

W tym też czasie zaczęto wywozić młodzież: chłopców i dziewczęta - na roboty do Niemiec. Jedną z moich kobiet pracowała w Arbeitsamcie, byliśmy

więc uprzedzane, kogo przeznaczono do ewakuacji. W tym miejscu muszę wspomnieć o pewnym wydarzeniu, które łączy się z tym o czym piszę. Pewnej niedzieli rano przyszedł do mego mieszkania mężczyzna, którego nie znałam, przedstawił się pseudonimem "DWÓJKA", był pewny siebie i robił wrażenie ze zorientowanego w naszej działalności. Ponieważ nigdy dotąd go nie widziałam ani o nim nie słyszałam, nie wzbudził mojego zaufania i rozmawiając z nim unikałam szczegółów.

"DWÓJKA" natomiast oświadczył, że ma duże możliwości pomocy i zostawił swój adres na ul. Sosnowej, polecając się we wszystkich rodzajach spraw.

Kiedy zaczęło się masowe wywożenie na roboty postanowiłam udać się do "DWÓJKI". Rzeczywiście pomógł nam uratować od wywiezienia sporą grupę kobiet, ponieważ okazało się, że sam brał udział w ewakuacji. Oświadczył jednak później że Niemcy żądają po 5 złotych rubli za każdego uratowanego. Rodziny chętnie zgodziły się płacić, byle tylko uratować najbliższego. Współpraca moja z "DWÓJKĄ" nie trwała jednak długo. Kiedy szłam kiedyś wczesnym rankiem ulicą zobaczyłam niemiecki pluton likwidacyjny z Getta, na czele którego szedł w mundurze "DWÓJKA". Zerwałam z nim wtedy wszelki kontakt. A wkrótce dowiedziałam się że jest szpiclem na usługach Niemców. Syn jego, gdy dowiedział się o zdradzie ojca popełnił samobójstwo.

Kiedy nadeszła wiosna 1944 roku nasza organizacja podjęła kilka nowych akcji. Oddziały wyruszyły w teren, żeby przygotować się do walki zbrojnej, a naszym zadaniem było zaopatrywanie żołnierzy w fałszywe dokumenty, aby mogli swobodniej poruszać się po mieście i okolicy. Szczególnie potrzebowali takich dokumentów partyzanci wychodzący z lasu. Druki na dokumenty przysyłano nam, fotograf był na miejscu /mój sąsiad/, a podpisy komendanta niemieckiego doskonale naśladowała plastyczka - Amelia Moczydłowska. Musiałyśmy być przygotowane kwatery, których musiał być zawsze zapas. Niektóre stawały się z różnych przyczyn nieaktualne i trzeba było wciąż szukać nowych. Kwatery wykorzystywane były dla różnych celów: dla osób "spalonych", rannych żołnierzy, partyzantów wracających z lasów, a także dla naszych zebranych czy gości z powiatów. Ja w tym okresie też często zmieniałam miejsce swego pobytu, ponieważ ostrzeżono nas, że poszukują pewnej nauczycielki /równie dobrze mogło chodzić o kogoś, bo nauczycielek w naszej organizacji było wiele/.

W tym okresie Armia Radziecka wypierała już Niemców z Białegostoku i okolic, ale ci cofając się niszczyli i palili wszystko.

Naszym zadaniem było chociaż częściowa ochrona zabytkowych budynków od całkowitego spalania. Między innymi grupce kobiet udało się ocalić zabytkową kamienicę na przeciw kościoła Farnego.

Latem 1944 roku na odprawie komendy spraw wojskowych dowiedzieliśmy się jak będzie przebiegać akcja wyzwolenia miasta. Natarcie było przygotowane przez osiem grup uderzeniowych, które miały zaatakować u wylotów ośmiu głównych ulic.

W tej sprawie powierzono ostatnie zadanie - organizację w ośmiu wyznaczonych punktach miasta pomocy sanitarnej. Musiałyśmy zdobyć i przygotować jak największą ilość materiałów opatrunkowych, zastrzyków, środków odkażających. Kobiety wywiązały się z tego zadania w pełni - punkty sanitarne były zaopatrzone doskonale. Miałyśmy mydło, ręczniki, płótno a także spirytus i podstawowe a najpotrzebniejsze środki opatrunkowe. Stała do pracy kadra lekarska i pielęgniarki, zarówno w szpitalach jak i zorganizowanych przez nas punktach.

Gdy w lipcu zaczęły się walki, ranni mieli zapewnioną pomoc i opiekę lekarską. Dwudziestego szóstego lipca 1944 roku Wojska Radzieckie wyzwoliły Białystok. Wszyscy zaczęli wracać do swoich zajęć, kobiety z Wojskowej Służby Kobiet także. Ja zgłosiłam się do pracy w szkolnictwie. Z koleżanką Zofią Gacińską brałyśmy udział w pracach Komisji Weryfikacyjnej. Przeprowadzałyśmy egzaminy dla młodzieży /zgłaszającej się do szkół/, która przynosiła zaświadczenia tajnego nauczania. Pracy z młodzieżą pozostałam wierna do dziś.

Muszę w tym miejscu przyznać, że opisanie tego okresu mojej działalności konspiracyjnej w WSK po tylu latach, nastroczało mi wiele trudności. Szczegóły, a nawet duże akcje uleciały niestety z pamięci. Dlatego opisane tu fakty i wydarzenia, chociaż były dla mnie wielkim przeżyciem, napewno nie są pełne. Zatarły się nazwiska i pseudonimy, pamiętam ich już niewiele. Ale te które pamiętam, pozostaną na zawsze w mojej pamięci. Chciałabym je jeszcze raz wymienić, aby pozostały też w pamięci innych. Zawsze serdecznie i z dużym szacunkiem wspominam komendanta Niwińskiego /ps. "PAPRYCA"/ i do dziś żyjącego i czynnie działającego w Białymstoku Czesława Hakke /ps. "FILIP"/.

Ofiarne i odważne kobiety z którymi pracowałam i na których się nie zawiodłam, a które pozostały w mej pamięci to: Felicja Ruszczewska, Julia Zubelewicz, Hanka Hykiel, Konstancja Szemiot, siostry Łukaszewskie, siostra Julia, Poczbutowna i wiele innych, których nazwisk nie pamiętam, a których większości nie ma już wśród nas.

Otrzymałem
od p. prof. A. Rybczyk.
Eja's'nik

Cześć ich pamięci!

ps - Aleksandra
Anna Rybczyk